

Recenzja
Kultura w 28
21-18V 50



„Samotność“

czyli

powrót szmiry

JAN KOTT

Cały czas, kiedy patrzyłem na „Samotność“, chodziło mi po głowie te parę zdań Stendhala: „Obiad był nietęgi, a rozmowa niecierpliwiąca. To spis rzeczy lichej książki, myślał Julian. Poruszają zuchwale najwyższe przedmioty, ale po trzech minutach człowiek pyta sam siebie, co większe: emfaza czy jego nieuczyność?“

I czegoż nie ma w tej sztuce Słomczyńskiego? Polscy marynarze zatrzymani na Tajwanie i ogonki w kraju, trzy zdania o imperializmie i trzy frazesy o AK, gadka o starych żonach i o młodych kochankach, zły sekretarz organizacji partyjnej i szlachetny zmęczony Polak, wrzeszcząca dziewczyna z polskich pól i łąk i trzy dziwki taiwańskie, surowy kapitan, który jest wyniosły, ale wierny swojej załodze i syn oficera zawodowego, były akowiec, bez sensu więziony i bez sensu prześladowany, który w czasie niewoli taiwańskiej wstępuje do partii. I to wszystko polane jest złym tłuszczem ociekającym kaznodziejstwem patriotyczno-sentymentalnym.

To nie jest sztuka debiutanta, który ma coś do powiedzenia: po prostu nie daje sobie rady z materiałem i prawami sceny. Wprost przeciwnie. To jest sztuka człowieka, który nie ma nic do powiedzenia i żadnych zahamowań. Jest zręczny i poda ci każdą mieszankę.

I to jest właśnie obrzydliwe. Obrzydliwe jest połączenie półprawd i pół-kłamstw, kokietowanie pozorami odwagi, aby ominąć w rzeczywistości wszystko, co jest bolesne i drażliwe. Jeden przykład. Pokazywanie gołych nóżek ma umożliwić przełknięcie wrzeszczących apostrof, że należy kochać żony za ich zmarszczki, albo może odwrotnie: kaznodziejstwo z „Niedzielnego dzwonnika“ ma usprawiedliwić pokazanie rozebranych dziewcząt. I tak samo w polityce.

Artystycznie *Samotność* jest prawdziwym arcydziełem złego smaku. I znowu wszystko. Z każdego stylu, co najłatwiejsze i najbardziej wulgarnie. Brecht jest modny, a więc dajmy piosenkę o żołnierzu i fałszywe *songi*. Symbolizm nie jest sprzeczny z realizmem i mamy wol-

ność stylów. Po co zadawać sobie trud i budować zwartą akcję. Niech wszystkie postacie prologu śnią się nieustannie bohaterom akcji głównej. Niech przyłazą na ten statek, niech przywołują wspomnienia i budzą skrupuły. Mamy do powiedzenia parę wstępniaków, mówmy je na rampie, wprost do publiczności. To będzie intelektualniej.

Tak więc Słomczyńskiemu udało się w krótkich abecugach połączyć: *Kościuszkę pod Racławicami* z *Optymistyczną tragedią* i *Życie paryskie* z Brechtem. Nie to nie Brecht, tylko brechta.

Lidia Zamkow nie szczędząc kosztów i energii z wielkim zapalem wykonała obowiązki reżyserskie. W tej szmirze bierze udział zespół blisko sześćdziesięciosobowy i kilku najświetniejszych aktorów, jakimi rozporządza Teatr Domu Wojska Polskiego.

Nie wszystkim to wyszło na dobre. Mikołajska zawsze zdumiewa, kiedy potrafi przeżyć rolę. Ale kiedy nie przeżywa, potrafi pokazać tylko manierę. I ta maniera wyszła, mała maniera nienajlepszego rodzaju z fałszywą prostotą, odrzucaniem głowy i wibrowaniem głosu. Halina Mikołajska zgrywała się na prostą, czułą i szlachetną dziewczynę. Po co?

Obroną ręką wyszły z tego przedstawienia nogi Leśniewskiej, Izabeli Paszkiewicz i Traczykówny. I mimo wszystko doskonały był Swiderski. Miał jakąś wyjątkową lekkość i autentyczność. Ale nie mógł uratować spektaklu. Teatr Wojska Polskiego bardzo niesławnie zakończył tegoroczny sezon teatralny i zawiódł nadzieje nas wszystkich. To nie jest pomyłka repertuarowa. To jest kapitulacja.

Po raz pierwszy w życiu gwizdałem w czasie spektaklu. Kiedy sztuka jest nieudana, nie wolno gwizdać. Ale kiedy sztuka jest obrzydliwa trzeba gwizdać. Gwizdźcie.

Teatr Domu Wojska Polskiego w Warszawie. Maciej Słomczyński „Samotność“. Sztuka w 3 aktach. Inscenizacja i reżyseria: Lidia Zamkow. Scenografia: Andrzej Sadowski. Układ choreograficzny: Barbara Fijewska. Premiera (bardzo nie w porę) 1 lipca 1956 r.